NUMER 42. DNIA 18-go PAŹDZIERNIKA 1903 ROKU ROK XI.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

O mistyfikacjach w historji.

Streszczenie wykładu *prof. Aleksandra Brücknera*, wygłoszonego na tygodniowem zebraniu lwowskiego „Związku naukowo-literackiego“ w dniu 15. października b. r.

Inwazja literatury do nauki, a zwłaszcza historji, zaszkodziła tej ostatniej bardzo i wytworzyła szereg fałszywych pojęć i ułudy, którą dopiero wiek dziewiętnasty częściowo zdołał rozwiać i usunąć. Takich wielowiecznych przesądów, wynikłych z prostej mistyfikacji wiele jest na świecie, a parę z nich dotyczy kwestji, mających dla nas szczególne znaczenie.

Wiadomo jakie wiadomości i przedstawienia wiążą się z początkami dziejów naszych w formie podań o Krakusie, Wandzie etc., toż samo w dziejach czeskich o Czechu, Kroku, Libuszy i t. d. Powie jednak ktoś, że są to wszystko dzieje bajeczne, podania, a więc ułuda już z natury rzeczy — to prawda, ale tam gdzie się historja urywa, tam trzeba rzeczywiście podań, tylko żeby te podania były naprawdę podaniami, ale nie pospolitą mistyfikacją, nie zwykłym wymysłem kronikarza czeskiego Kozmasa, który prawi takie rzeczy o Kroku, Libuszy i Przemysławie, których sobie naród czeski nigdy nie opowiadał. Gdy Hanka, czeski poeta, fałszował „dla większej chwały narodu czeskiego“ poezje, zaprodukował on także dwa urywki ze „Sądu Libuszy“, a inni badacze odkryli tam wiadomość o pierwotnym ustroju Słowian, o wspólnocie rodowej etc. Toczyła się długo walka o to, czy ten poemat fałszywy, czy podrobiony, ale była to walka *de lana caprina*, bo sam fakt sądu Libuszy jest niemożliwy; naród czeski nigdy nic sobie takiego nie opowiadał, a jeżeli co opowiadał, to chyba tyle, że Libusza nie była żadną księżną, ani żoną Przemysława, ale raczej był to mężczyzna, według wszelkiego prawdopodobieństwa jeden z czeskich książąt pierwotnych. Bajkę o Libuszy wymyślił szanowny dziekan praski Kozmas, pierwszy czeski kronikarz, ale wpadł przytem mimowolnie w tak zdradziecką pułapkę językową, że uczonym lingwistom dzisiejszym nie trudno nawet śledzić toku myśli autora.

Otóż Kozmas, gdy przystępował do przedstawienia dziejów czeskich, miał głowę nabitą literaturą i sam puścił się na to pole, tem bardziej, że nie wydał mu się zbyt pięknym początek historji czeskiej w formie suchej wzmianki, że pierwszy książę Bożywój przyjął wiarę chrześcijańską i t. d. Tak samo też fantazja nie pozwoliła mistrzowi Wincentemu Kadłubkowi rozpocząć historji polskiej tak sucho i urywkowo, jak się ona w rzeczywistości zaczyna. Kozmas powiedział więc sobie, że tam gdzie nic nie wiemy tam trzeba szukać i właśnie język wyprowadził go na manowce. Były w Czechach grody dawne, opuszczone, po których już za jego czasów nazwa tylko pozostała. I z tych to nazw, niewiado-

mego pochodzenia utworzył sobie Kozmas historję. Więc przedewszystkiem nazwa „Czechy“ naprowadziła go na osobę „Czecha“. Były dalej grody Luboszyn, Tetin, Krakowiec koło Pragi, a z tego zaraz zrodziły się w głowie jego osoby Kroka, Tetiny, Libuszy. I na tej właśnie ostatniej nazwie złapał się Kozmas, bo, wywodząc od Luboszyna słowo „Lubosza“, myślał, że to jest imię żeńskie, podczas gdy w rzeczywistosci było ono imieniem mężczyzny. Ale Kozmas wyrósł na szkole łacinskiej, gdzie Metamorfozy Owidjusza żwawo były obrabiane, zwłaszcza ta o „wieku złotym“. .....„*Aurea prima sata est*....“ Więc też i osoby odnalezione w nazwach grodów powiązał fantazją w całość i stworzył z nich zwykłe naśladownictwo Owidjusza „wiek złoty“, który miał niby panować w Czechach za Przemysława. Nie wiedząc wreszcie co zrobić z imionami żeńskiemi, stworzył z nich córki Kroka, a do tego..... czarownice, z których najmłodsza Libusza wychodzi za Przemysława (postać rzeczywiście w podaniach czeskich przychodząca) i staje się matką książąt czeskich. Książąt tych wymyślił Kozmas dziewięć pokoleń, aż do pierwszego, historycznego Bożywoja, a nie mając widocznie ochoty wdawać się w szczegółowe genealogje urządził się tak, że każdy książe miał tylko jednego syna, który po nim na tron wstępował.

Na podaniach takich, wyssanych po prostu z palca praskiego dziekana, budowano z taką pewnością, że należą one wprost do kultury, a literatura piękna, obrabia je bardzo chętnie, nie wiedząc o tem, że i to źródło ich jest... poezją. Zupełnie tak samo ma się rzecz i z „podaniami“, odnoszącymi się do dziejów polskich, a mianowicie o Krakusie i Wandzie. Ale Wanda nasza nie ma tej nawet powagi, co czeska Libusza, nie ma nawet pierwotnej nazwy, gdyż powstała tylko z pomyłki Wincentego Kadłubka, który myślał, że Wisła, nazywała się właściwie „Wandalen“ i stąd utworzył sobie imię Wandy. Tak więc Wanda nasza i jej dzieje nietylko, że nigdy w rzeczywistości nie istniały, ale nawet lud polski nigdy sobie takiego podania nie opowiadał. Całe więc dzieje Wandy, to mistyfikacja i pomysł mistrza Wincentego, a wiadomo, ile to poetów te dzieje sławiło, samo zaś imię dostało się do kalendarza słowiańskiego, który znowu nigdy nie istniał, a ten, który go wymyślił, nie miał nawet o nazwach słowiańskich... dobrego wyobrażenia.

Ale nietylko podania bywają przedmiotem mistyfikacji, ale czasem i to, co rości sobie pretensję do poważnej nauki. Wszystko naprzykład, co nas uczą o Cyrylu i Metodvm i ich znaczeniu dziejowem, jest mistyfikacją. O tych „apostołach“ Słowian i filarach katolicyzmu, których papież Leon XIII. osobnym listem polecił na wzór do naśladowania dla wszystkich, o Metodym zwłaszcza powiedział współczesny mu papież Szczepan V.: „że ta klątwa, którą on rzucił na wzgardę wiary katolickiej, na niego spadnie“. Leonowi XIII. podsunięto baśń, bo w rzeczywistości, ci dwaj Grecy byli tylko Grekami i tak się zdaje, jakoby wychudła, ascetyczna twarz Metodego dziś jeszcze szyderczo patrzała na wieki illuzji, na wieki, które się tak długo tumanić dały bizantyńskiej ułudzie. Prawosławni wietrzyli zawsze w Metodym wroga katolicyzmu, ale świat katolicki dał się uwieść podstępnym Grekom, którzy pod maską pseudokatolicyzmu kryli propagandę swoją, wyszłą od Focjusza, ojca schizmy kościelnej. Udawało im się to zupełnie, nawet papież Jan VIII. dał się uwieść i aż dopiero energiczny jego następca Szczepan V. poznał po czynach zgubną dla katolicyzmu działalność Cyryla i Metodego, a Świętopełk morawski spełnił tylko wolę papieża, kiedy ich z kraju wydalił.

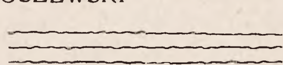
Wogóle na tle wyznaniowem najczęściej rodziły się mistyfikacje, jak n. p. o papieżycy Joannie i t. p.

A jednak nieraz poezja o wiele bywa bliższą prawdzie historycznej, pozorny wymysł czasem jest daleko lepszy, niż „autentyczne“ podania. Pierwotne dzieje Polski opiewał Słowacki w „Lilli Wenedzie“ i „Królu Duchu“, a o ileż one są bliższe prawdy, aniżeli chłopskie sielanki o Piascie, miodzie, postrzyżynach i t. d. Pierwotne bowiem dzieje Słowian, to nie dzieje rolników. Przy strasznej rozprężności żywiołu słowiańskiego, państwa ich nigdy w taki sposób powstać nie mogły, ale raczej tak, jak je opisuje Słowacki. W walkach i potokach krwi robiła się pierwotna czeska i polska historja. Sam fakt powstania szlachty polskiej i silnej władzy książęcej dowodzi, co za katastrofy i tragedje rozgrywały się u kolebki dziejów polskich. Nie od Piasta i Rzepichy, ale od takich Mieszków i Bo-

lesławów Chrobrych rozpoczynają się dzieje prawdziwe, a oni są tylko następcami sobie podobnych. W interesie jednak dynastji leżało nie wspominać tych krwawych dziejów, a równocześnie lud prosty, uciśniony, marzył o jakichś lepszych, dawno minionych czasach, których naprawdę nigdy nie było. Najwyższy czas uporać się z takiemi rzeczami, które po dziś dzień tłuką się po podręcznikach, zrezygnować z sielanek i ułudy, które do niczego nie prowadzą.



WACŁAW SIEROSZEWSKI



POWRÓT.

POWIEŚĆ.

(16)

Karski odszedł. Przez płótno przepierzenia słyszał w swej budce, jak mówili głośno ku wielkiemu przerażeniu pani Anny:

— Zaraz w pierwszej wsi spisać protokół... Tak i tak: przykładem swym ludzi pociąga do buntu... Bez żadnych powodów robi, co do niego nie należy... Poskarżyć się!.. Władza z takimi nie żartuje!.. Żywo łokcie mu w tył ściągną...

— Nie bój się. Strachy na Lachy. Napewno kradzione złoto wiozą i więcej mają powodu wystrzegać się policji! — uspakajał żonę Stefan.

— Zawsze... wolałabym tego uniknąć!.. Drżę na sam widok jasnych guzików...

— Nie mogę ustąpić, kochana, nie mogę... straciłbym resztki szacunku dla siebie. I ty straciłabyś go dla mnie!..

Od tego dnia stosunki Karskich z sąsiadami i uprzywilejowaną częścią „towarzystwa“ mocno się popsuły. Kupcy traktowali Stefana wprost wrogo, i nieraz on słyszał za plecami, niby na wiatr rzucane, obelżywe wyrazy:

— Farmazon... sycylista!...

Koźma już nie ukazywał się w budzie. Ostrożny Guran przestał im udzielać wskazówek. Damian znikł na czas jakiś z widnokręgu. Spirydion zaczął im przysyłać gorsze obiady. Ale Karski ostro upominał się o należne mu z umowy porcje, a na brak uprzejmości nie zwracał uwagi. Przychodziło mu to tem łatwiej, że na łodzi mało bywał i mało miał teraz z ludźmi do czynienia po za obrębem pracy, jedzenia i spania. Na to głównie zwracał uwagę.

Ale raz dostrzegł, że pani Anna, bez względu na wietrzną pogodę, wciąż stoi obok Gurana na mostku, a jednocześnie słyszał w przedziale kupców głośne chichoty, śpiewy i wykrzykniki. Słuchali ich z wielką uciechą holownicy i robili wesołe uwagi. Odczepił więc ślę i kazał się wziąć na statek. Guran wzdragał się przybijać, Damian też krzyczał, że czasu tracić nie można. Karski już się gotował pójść wpław do łodzi, gdy jeden z kupców wychylił głowę z pod płótna i pijanym głosem zawołał:

— Przybijaj, przybijaj!... Nie wzdragaj się!...

— Ty nie uwierzysz, co oni dziś wyrabiają!.. Wprost takie wygadują rzeczy... takie nieprzyzwoitości, iż usiedzieć w budce niepodobna... Przecież oni wiedzą, że wszystko u nas słychać!.. — skarżyła się pani Anna, czerwona od wzburzenia.

Karski spojrzał z wyrzutem na Gurana, który zmieszany oczami po rzece wodził, krzyczał zbyt głośno i zapamiętale:

— Zczyszczaj!.. Hej!.. Miotaj!...

— Cicho!.. Usłyszy!.. — ostrzegał jeden głos w przedziale kupieckim.

— Co cicho! Albo to ja się go boję, albo to ja nie zapłaciłem za miejsce?.. Wolnoć Tomku w swoim domku!.. Wolno mu ciągnąć — wolno mi śpiewać... — bronił się drugi głos, po którym Karski poznał Tereszkina. — Wielka rzecz, choćbyśmy się i pobili... Aby nie na śmierć!... Czy to pierwszyzna...

Rano kawa i biskwity,
A wieczorem nos rozbity...
Uha!... Ha!... Ha!...
Która z was mi buzi da!..

Dalszy ciąg był do tego stopnia nieprzyzwoity, że nawet Karski poczerwieniał. Szybko przeszedł po desce i pochylił się u wejścia do budy, trzymając oburącz za pałąk odrzwi.

— Proszę przestać!... Proszę natychmiast zaprzestać!..

— Co? A ktoś ty taki?.. Wielka duszo na małych nóżkach!

— Odejdź! Niech pan sobie odejdzie i zostawi nas w spokoju!... — dodał starszy Bryłkin.

— Żądam zaprzestania nieprzyzwoitości!...

— Przecie pan się zgodził na odjezdnem nie krępować nas...

— Co tu z nim gadać!.. Świadków nie ma... Niech się skarży...

— Gospodarzu! — wołał drżący z gniewu Karski.

— Co? gospodarzu! My i gospodarzowi wybić zęby możemy... My tu się z nim porachujemy za wszelkie względem nas podłości...

Damian też widać tego był zdania, gdyż wcale na wołanie się nie zjawił.

Karski czuł swą bezsilność i ściskał obręcz w palcach tak mocno, że aż trzeszczała.

— Wrzucę do wody! — rzekł głucho.

— Oho!.. Siła złego dwóch na jednego!..

— Związać go! — komenderował Tereszkin i szedł, potaczając się, ku przeciwnikowi z ręcznikiem w ręku.

Karski wyciągnął ramię, aby go schwycić za kark, ale kupcy odgrodzili go od towarzysza. Jednocześnie uczuł na plecach dobrze znane delikatne dotknięcie.

— Stefanie, zostaw w spokoju tych złych ludzi, niech śpiewają!... — mówiła blada jak śmierć Anna.

Karski zrobił ruch niecierpliwy, ale spojrzał na płonące niespokojnie oczy żony, na wązką deseczkę, na której stała, na skłębione, mknące przed nią nurty i w mgnieniu oka ochłonął.

— Szkoda, żeś mię wstrzymała!.. Oni mogą dojść, Bóg wie do czego!.. — mówił odprowadzając ją na miejsce.

— Niech pan się nie boi!.. Już to się nie powtórzy... Znam ja ich... obwarzanki miejskie... — uspakajał go po cichu Guran. — Jacy oni kupcy?!.. Sami się chwalą... Poprostu kramarze. Dziś pijani, więc niech już pan wytrzyma, ale wódki mają mało, a trzeźwi nie odważą się... Toć widać, że pan może człowieka w gębę gwizdnąć!

— Ewangelista!.. Miłosierny baranek!.. Litościwy sycylista!.. A zaraz: utopię!.. Oho! Wara! Do cyrkułu nie łaska!.. — gdakali za płótnem pijani kupcy, przetykając swe sentencje niemożliwemi przekleństwami.

— Niech pan zejdzie na brzeg... Niech pan zejdzie na brzeg!.. — nastawał Guran.

Karski usłuchał go. Czas jakiś jeszcze grzmiały na łodzi wykrzykniki i dzikie wyrazy, plugawiąc czyste powietrzne przestworza i wywołując potworne echa nad wodą i w górach, lecz zwolna ucichło wszystko.

Holownicy z ukosa w milczeniu jakimś innym wzrokiem spoglądali na Karskiego, który wprzągł się znowu w ślę i parł z nimi statek, wygięty naprzód piersią. Wydało mu się, że w ich głosach, w ich obejściu tai się niezadowolenie z niego i drwiny...

V.

Przepowiednia Gurana ziściła się.

Nazajutrz kupcy wcale nie śpiewali, przestawali nawet rozmawiać, gdy Karski zbliżał się ku nim. Wzrokiem jedynie wyrażali mu swą nienawiść, a gdy był na brzegu, pozwalali sobie na rozmaite dwuznaczniki, doskonale zrozumiałe dla wszystkich obecnych.

Zbierali się zwykle koło ogniska na dziobie łodzi, który w dni pogodne służył za rodzaj klubu dla całej osady.

— Komu to tu poprawiać świat!? — filozofował stary Bryłkin.

— Wio!.. Wio!.. Fiut!.. — gwizdał Tereszkin i mlaskał językiem, naśladując trzask bata.

— Słyszycie, jak na was gwiżdżą? — zwrócił się raz do Karskiego Indor.

— A może to na was?

— Ej, gdzie tam! Nie gwizdali dotychczas, po co by mieli gwizdać teraz!?..

— Mybyśmy ich gwizdnęli, a jakże!.. — przechwalali się Żygani.

— No i co?

— A to, że wygląda pyzato i... — Bez gadania!

— Ej, wy, paple!.. Nie folgujcie... Ledwie zdołać mogę!... — obruszył się Obuch, oglądając na towarzyszów. Spotkali się spojrzeniem z Karskim i olbrzym uśmiechnął się przyjaźnie. — Niech pan ślę wyżej podniesie... Na dołku ją pan ma... Zeprze pana!..

Nie mieli czasu na gawędy, nie mieli go na nic. (C. d. n.)

WACŁAW SIEROSZEWSKI W JAPONII.

Jak wiadomo, wysłany został znakomity nasz pisarz p. W. Sieroszewski przez petersburską Akademję umiejętności do Japonji dla studjów etnograficznych. Według listu, datowanego z dnia 17. sierpnia b. r., który dopiero w tych dniach nadszedł do Lwowa*) bawił p. Sieroszewski nad brzegiem Oceanu Spokojnego w wiosce Sirawoj, a rezultaty jego badań zapowiadają się świetnie dla nauki. W podróży towarzyszy Sieroszewskiemu, Piłsudzki, polityczny zesłaniec z Sachalinu, któremu rząd rosyjski na szczególne starania Towarzystwa Geograficznego pozwolił wyjechać do Japonji w charakterze tłumacza.

Oto niektóre wyjątki z listu p. Sieroszewskiego:

„Już od kilku tygodni siedzimy z Piłsudzkim w wiosce ainoskiej i zapoznajemy się życiem, spisujemy podania, skupujemy rzeczy. Druga to moja wyprawa do ainosów. Pierwszą odbyłem z Bachelorem; udało mi się wtedy zdobyć 25 pomiarów całkowitych, w tej liczbie 11 kobiet. Zdaje się, że to będą pierwsze pomiary ainosek zdobyte przez naukę. Wyprawa udaje się. Jedynie Japończycy dokuczają, podejrzywając w nas szpiegów rosyjskich. — Za jakie 6 tygodni kończy się paszport Piłsudzkiego i musi on wracać na Sachalin. Wtedy ja nawrócę do Europy. Ale wrácać będę powoli, zatrzymam się jeszcze na południu Japonji, potem przez Koreję i Pekin pojadę do Chin Południowych, stamtąd przez Indje i Egipt do Włoch. Droga długa.

„Moc ciekawych rzeczy, nowych obserwacji człek lęka się, żeby odeń co nie uciekło! Dusza chciwa!... Polska dusza chciwa wrażeń, gwałtowna i niepohamowana!... Profesor dobrze wie, co to jest gorączka badania... A tu czasu mało, pieniędzy jeszcze mniej... Ale idzie, po trochu pcha się... Mieszkamy rozumie się razem z ainosami, jemy co się zdarzy, lecz zdrowie dopisuje nam i wydatek na apteczkę wprost wyrzucone pieniądze“...

*) Do prof. Dybowskiego, który go nam łaskawie zakomunikować raczył *(Red.)*.



Karol Notz.

SOŁOTWINA

(Dokończenie).

Żaden kraj nie posiada tylu pamiątek świetnej swej przeszłości, co Polska. Kędy wzrok obrócisz, gdziekolwiek stąpisz, wszędzie znaki dawnej naszej potęgi i sławy.

Gdy się stąpa po nich, po tych gruzach potęgi praojców niech przynajmniej w sercu widza wzbudzą one iskierkę miłości do tego, co swoje, co krwią oblane, niech ludzie szanują te gruzy, niechaj stulają rozlatujące sie głazy, bo, dopóki one sterczą, to żaden środek nie zdoła wyplenić z piersi tej miłości ku temu, co swoje, co po ojcach odziedziczone.

Jest bardzo ciekawe jedno miejsce w Sołotwinie, położone na zachód od miasta o trzy ćwierci mili, zwane po rusku „Головницею“. Leży w miejscu, gdzie się schodzą niższe pasma gór Karpat, a między temi pasmami płynie potok, prawdziwie górski, zwany Lubieniec.

Wśród tego pasma, ponad potokiem rozlegają się po obu bokach daleko w górę przepiękne kobierce górskiej trawy i wonnego kwiecia, same sianożęcia.

Urocze to miejsce nosi swą oryginalną nazwę od czasu najazdów tatarskich, po których o niem takie opowiadanie słyszałem.

Pewnego razu pojawili się Tatarzy w tej okolicy, wabieni rozgłosem bogactw Skitu Maniawskiego i uganiali się za swoją zdobyczą po okolicznych wsiach i niwach,

Ludzie kryli się w lasach, łączyli się w oddziały, a jeden z takich oddziałów ukrytych zobaczyli Tatarzy na polach zwanych „obołoniami“.

Widząc łatwość zdobyczy, puścili się Tatarzy za owym oddziałem, a ci niby uciekając, prowadzili pohańców w niedostępne wąwozy i góry i wywiedli na piękną polankę, otoczoną ze wszech stron lasami i niedostępnemi skałami.

Tatarzy się zawahali, ale znaleźli przewodnika, na którego ofiarował się im pewien hucuł.

Ten prowadził ich zaroślami i wprowadził na stromą skałę zwaną „Scinka“, u stóp której leżała przepyszna murawa głębokiej debry. Tam runęła ława dziczy tatarskiej i znalazła wraz z końmi swój koniec.

Dziś wykopują na tem miejscu wiele kości zarówno ludzkich, jak i końskich, a szczególnie głów, od czego też poszła i nazwa.

Opodal od tego miejsca jest w tej okolicy dość duża pieczarka na górze między Sołotwiną a wsią Kryczką, a oprowadzający mnie hucuł opowiadał, iż gdy z początkiem XVII. wieku przybyli w te okolice czerńcy t. j. mnisi zakonu Bazylego Wielkiego podzielili się na dwie części; jedna osiadła nad Maniawką w niebotycznych lasach i stworzyła dzisiejszy Skit Maniawski, druga osiedliła się tu na górze i zamieszkała w tej pieczarze.

Z czasem mieli mnisi połączyć obie te siedziby podziemnem przejściem z góry Lubieniec do wsi Maniawy.

Wskazywał mi też i studnię, w której znajduje się woda, niedaleko tej pieczary leżąca i wspominał o mogile, która stać miała w tej stronie, a w której wedle opowiadania ludu, leży jeden z chanów tatarskich.

Mówiąc o podaniach, nie od rzeczy będzie wspomnieć o legendach z czasów opryszków, które między ludem tamtejszym z ust do ust biegną, powtarzane z dumą przez Hucułów.

W debrach sołotwińskich zebrali się raz w początkach XVIII. wieku opryszki, obładowani łupem i grabieżą, i zaczęli się niemi dzielić.

Z tego powstała sprzeczka i bójka, gdy nadszedł szlachcic imieniem Makarewicz i za wolą opryszków ich pogodził.

Przez Sołotwinę przesunęła się wataha najgłośniejszego z nich Ołeksy Dobosza, który kilkakrotnie w tej okolicy obozował.

I do dziś dnia szumią bory tamtejsze echem pieśni opryszków, do dziś dnia śpiewa naród tysiączne piosenki o wielkim naczelniku huculszczyzny.

Taki to w krótkich zarysach, oparty na aktach miejscowych i pozostałych zabytkach, rzucony szkic historyczny miasteczka Sołotwiny, która dziś coraz bardziej się podnosi, i wre silnem tętnem życia, tylko z tą różnicą, iż dawniej rozlegały się wrzaski surm i kotłów wojennych, okrzyki Tatarów — dziś huczą kotły, wydobywające z głębi ziemi niezmierzone skarby.



Ludność wieśniacza ziemi halickiej

w wieku XV.



Wydawane pod redakcją prof. Oswalda Balzera „Studja nad historją prawa polskiego“ zawierają w ostatnim najnowszym zeszycie pracę dra Szymona Rundsteina p. t. „Ludność wieśniacza ziemi halickiej w wieku XV.“. Niewielka ta rozmiarami rozprawa, jest krytycznem opracowaniem źródeł zawartych w dwunastym tomie „Aktów grodzkich i ziemskich“ o ile one odnoszą się do stosunków ludności wieśniaczej w ziemi halickiej i w okresie czasu od r. 1435—1475. Mimo tego potrójnego ograniczenia, co do czasu, miejsca i źródła, stanowi rzecz niniejsza cenny przyczynek do dzieł o ogólniejszym i szerszym zakresie, jak ks. Lubomirskiego, prof. Szaraniewicza, hr. Stadnickiego nie mówiąc już o tem, że specjalny kierunek badań autora umożliwia mu zajmowanie się nawet bardzo drobnymi szczegółami, na czem naturalnie zyskuje wypukłość i koloryt roztoczonego przed nami obrazu.

W okresie omawianym, przejściowym od wymierających instytucji prawa ruskiego, do czysto polskiej organizacji znajduje autor na ziemi halickiej przedewszystkiem włościan swobodnych z pokrewną kategorją „podsadków“ czyli komorników bezrolnych, starszyzną wiosek halickich t. z. „watamanów“ i „tywunów“, a wreszcie kategorję ludności rzemieślniczej wiejskiej i duchowieństwa prawosławnego, których akta równają z szarą masą włościan.

W przeciwieństwie do wszystkich tych kategorji włościan swobodnych, istniała druga grupa włościan nieswobodnych, którym akta nadają tajemniczą nazwę „kalannych“ lub „ordyńców“, a odróżniają ostatecznie od „niewolników“ we właściwem tego słowa znaczeniu, którzy istnieli na Rusi do wieku XV.

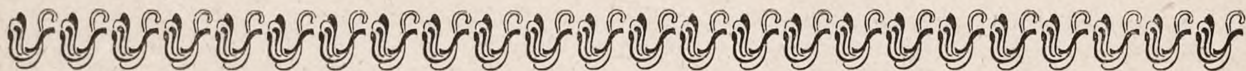
Główną i zasadniczą różnicą, między ludnością swobodną i nieswobodną było „prawo wykłonu“ *(ius reclinationis)* możność przesiedlenia się po własnej woli z jednego miejsca na drugie, przechodzenia z rąk jednego właściciela do drugiego. Prawo to, względnie wolność przesiedlania się, przeszło na ziemi halickiej daleko prędzej wszystkie fazy ograniczeń, aż do „przypisania do gleby“ (glebae adscriptio), aniżeli w Polsce właściwej. Podczas gdy w Polsce dopiero statut Olbrachta z r. 1496 dzieła adskrypcji dokonał, w Haliczu stało się to, o pół wieku wcześniej, bo już w r. 1435 ogłoszony został statut „*Cum aliquis incolarum*“, który wolność chłopstwa ostatecznie ograniczył na rzecz szlachty. Okres przeto, który dr. Rundstein w pracy swojej omawia, jest okresem walki społecznej między stanem włościańskim, a szlacheckim, który sieć ograniczeń osobistej wolności chłopa, coraz to bardziej i istotniej zacieśnia.

Ludność włościańska na ziemi halickiej siedziała częścią na prawie ruskiem, częścią na wołoskiem, lub niemieckiem, a jednostkami gospodarczemi i ekonomicznemi były „dworzyszcza“, jako związki pewnej ilości jednostek połączonych ze sobą związkiem krwi wedle starożytnej gminno-sądowej formy. Gospodaruje na takiem dworzyszczu jeden lub kilku włościan np. bracia rodzeni, lub bliscy krewni, albo powinowaci np. teść z zięciem.

Rozpatruje dalej autor kwestję sądownictwa chłopskiego, które w sprawach karnych, o ile nie tyczyły się tak zwanych „czterech artykułów“, należało do sądów prywatnych, patrymonialnych, w sprawach zaś cywilnych przed sądy publiczne, w których włościanie występują samodzielnie, jako pozywający, pozwani lub świadkowie. Gdy szlachcic popełnił przestępstwo, zabił chłopa lub zabrał mu dobytek, sprawę rozpatruje sąd grodzki.

Co się tyczy wreszcie kwestji pańszczyzny i świadczeń chłopskich, to na podstawie swojego źródła dochodzi autor do przekonania, że rozmiary obowiązku pańszczyźnianego były wtedy jeszcze nieznaczne, chociaż bardzo różnorodne. Obok opłat pieniężnych i danin w naturze, pracowali chłopi w młynach, przy śluzach wodnych, a także w żupach solnych. Do najwięcej rozpowszechnionych świadczeń na rzecz panów należy „powołowszczyzna“ — opłata od wołów i „odumarszczyzna“, rodzaj podatku spadkowego. Oprócz tego obowiązani byli chłopi do świadczeń publicznych jak do sypania wałów i przywozu drzewa na budowę twierdz, są też wzmianki o podymnem stacyjnem chłopów, od których czasem uwalnia szczególny przywilej królewski.

Takie są, w najogólniejszych zarysach wyniki badań autora. Podaje on je treściwie, udowadniając każdą tezę i twierdzenie szeregiem odnośnych zapisek.



ZAGADKI LITERACKIE. (5)

(WYKAZ PSEUDONIMÓW ZESTAWIONY PRZEZ STANISŁAWA BOTWIŃSKIEGO.)

Oryszowski R. = Franc. Rawita Gawroński.
Ostrowski Domejkowicz = Jan Fryd. Sapieha.
Palestrant bez praktyki = Leon Gajewicz.
Pełka = Antoni Chołoniewski.
Pomian Z. = Wilh. Feldman.
Pomian Zygmunt A. = Wilh. Feldman.

Puk — Antoni Mieszkowski.
Prandota — Stan. Herburt Hejbowicz.
Probus — Jul. Bem.
Ralex W. — Aleks. Ryszczewski.
Renka z pod Borysowa — Franc. Bohuszewicz.
S. Jadwiga z Z. — Jadwiga z Zubrzyckich Strokowa.
Sarmacki W. K. — Ferd. Hoesick.
Sarjusz — Krystyna Sarjusz Zaleska.
Snitko J. — Stan. Herburt Hejbowicz.
Starowiejski Remigiusz — Zyg. Sarnecki.
Sten Jan — Ludwik Brunner.
Stodor A. — A. Cehak.
Sulita Stefan January — Stef. Giller.
Sulla — Karol Bahrke.
Szary Florjan — Ant. Chołoniewski.
Tezet — Zygmunt Tarliński.
Theresyta — Marja Krzymuska.
Tomicki Walery — Gabrjela z Piotrowskich 1° [Błocka 2° Janowska.
Tułacz — Agaton Giller.
Ulicovius Gregorjus Lithuanus — Gotfr. Wilh. [Leibnitz.
Whitecross James Wiliam — Michał Wiszniewski.
Wielkopolanin — Agaton Giller.
Wielkopolanin — Dr. Kaź. Krotoski.
Wierzba Dr. — ks. Bylitowski
Wierzbięta — Tadeusz Żuk Skarszewski.
Wigura S. — Franc. Rawita Gawroński.
Wojtuś — Marceli Motty.
Wreschen — Wacław Perkowski.
Zahorski Jan — Jan Goldberg.
Zefi dr. — Józef Żuliński.
Żaba — Antoni Barański.



Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Z wydawnictw zeszytowych. „Słownika geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich“* wyszedł zeszyt 183, tomu piętnastego, który stanowi uzupełnienie całego dzieła. Zeszyt 183 obejmuje litery „P“ i „R“ a obok dat i opisów historycznych całego szeregu miejscowości, opuszczonych w poprzednich tomach, podaje bardzo dokładne uzupełnienia historji miasta Poznania aż do najnowszych czasów. W ten sposób całe to monumentalne dzieło dobiega ku końcowi. Słownik geograficzny wydawany jest od r 1884 według planu Filipa Sulimierskiego, pod redakcją Bronisława Chlebowskiego przy współudziale od połowy tomu VI. Józefa Krzywickiego. Dziesięć tomów pierwszych wyszło nakładem Władysława Walewskiego, od tomu zaś jedenastego począwszy łoży na wydawnictwo Kasa pomocy dra Mianowskiego.

Równocześnie dobiega też ku końcowi, drugie pożyteczne bardzo wydawnictwo, a mianowicie *„Encyklopedja Staropolska“* wydawana staraniem p. Zygmunta Glogera. Ostatnie trzy zeszyty (VI.—VIII.) zawierają dokończenie litery „S“ i początek litery „T“. Z mnóstwa artykułów podanych tutaj zwracają uwagę dobrem opracowaniem „Towarzystwa naukowe i literackie w wieku XVIII“, „Szabla“, „Szkoły“ i „Szlachta“.

Biały Demon. Nowele i fantazje p. Antoniny Gedroić-Matuszewicz wyszły w zbiorowem wydaniu w Warszawie, pod powyższym wspólnym tytułem. Same nowelki fantazje nie przekraczają miary zwykłych produktów literackich, których mnóstwo konsumują fejletony pism codziennych, w całości jednak jako przepysznie wydany tom zdobią wystawy księgarskie, a zdobić też mogą stoliki damskich budoarów.

NOTATKI. *Hołd pośmiertny.* Z powodu odsłonięcia pomnika Dygasińskiego „Prawda“ warszawska tak pisze: Czy ten człowiek w owej epoce, kiedy chodził nocą po ulicach Pragi czeskiej, szukając na nich centa i porzuconego kawałka cygara — lub w innej, kiedy nie mógł się utrzymać z maleńką księgarenką w Krakowie, kiedy ksiądz Golian wpadał do niej i wymyślał za wystawienie w oknie dzieł Darwina, czy ten człowiek, który doszedłszy do 30 lat wieku, nie przekonał jeszcze żadnej redakcji, że ma jakikolwiek talent, mógł się spodziewać, że za życia będzie uznany za znakomitego pisarza, a po śmierci nazwany „jedynym“, „niezastąpionym“, „nieporównanym“? A przecież to się stało i dobrze, że się stało, chociaż obecnie — jak zwykle u nas — przesada skoczyła na przeciwległy kraniec. Dygasiński artystą w ścisłem znaczeniu nigdy nie był i niepotrzebnie ten tytuł wybrano głównie dla wyrażenia jego wartości i uczczenia zasług. Jego bowiem talent miał za dużą domieszkę pierwiastku rozumowo-dydaktycznego. Ale był umysłem szerokiego widnokręgu, był sercem bardzo wrażliwem na te smutki, bóle i wzruszenia, które rodzą się na dole społeczeństwa i jeszcze niżej pod nim. Stąd jego częste nawroty do życia ludu i zwierząt, stąd ciągłe nurkowania w głębiach nieoświeconych przez słońce i nieznanych lub zapomnianych przez wierzchnie fale morza. Rdzeniem jego twórczości powieściopisarskiej jest szlachetna miłość i współczucie dla wszelkich istot maluczkich, słabych, bezbronnych i sponiewieranych. Nie była też jedynie wyrazem przyjacielskich uczuć entuzjastyczna mowa, którą p. Sygietyński wypowiedział przy nagrobku, postawionym ze składek na mogile dobrze zasłużonego i szczerze żałowanego. Dygasiński godzien jest i widomego znaku czci i serdecznej pamięci.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.